

DARIUSZ DOMAGALSKI
TERAZ, KURNA, MY!

*Mistrzowi
Robertowi E. Howardowi*

1. Władza, moje przeznaczenie

Słońce schowało się za horyzontem stosunkowo szybko jak na tę porę roku. Nie dziwię mu się wcale po takiej rzezi, jakiej było świadkiem. Tarasy i balkony pałacu królewskiego spływały krwią, zasłane trupami doborowej gwardii. Na strzaskanych tarczach i celujących w niebo połamanych kikutach halabard siedziały już sępy. Ptaki te miały niezwykły instynkt cechujący padlinożerców. Nie mniejszy niż pałacowe ciury, których prostacze mordy wychynęły ukradkiem z kryjówek. Zaraz rozpoczną obdzieranie ofiar z odzienia, butów, biżuterii i ozdób, a sępy poczekają na swoją kolej, żeby pobiesiadować na martwych ciałach.

Spojrzałem na sprawcę tego zamieszania. Stał na dziedzińcu w czujnej postawie, z mieczem uniesionym wysoko ponad głową, w każdej chwili gotowy do ataku. Nagi, potężny tors umazany miał krwią – bynajmniej nie swoją. Skórzana przepaska na biodrach, skąpo zasłaniająca wstydlive partie ciała, była po walce postrzępiona i jeszcze skromniejsza. Długie, rozwiewane przez wiatr czarne włosy, zamiast spływać subtelnie kaskadą na ramiona, jak to u barbarzyńców bywa, zasłaniały mu oczy. Musiało go to strasznie irytować, gdyż odgarniając je co chwilę, mruczał przekleństwa pod nosem we wszystkich znanych językach.

Po całym świecie krążyły o nim legendy. Urodził się w jakiejś górzystej, mroźnej i niegościnniej krainie na północy, której nazwa została już dawno wymazana z wszelkich map. Dalej na północ leżały tylko Asgard i Vanaheim. Powiadają, że jego ojcem był bóg albo przynajmniej lodowy gigant. Podobno matka urodziła go na polu bitwy, więc pierwsze co usłyszał to zgiełk bitewny, pierwsze co zobaczył - rzeź, pierwszym jego okrzykiem zaś był zew bojowy.

Mając lat siedem zabił swojego pierwszego wroga, będąc dziesięciolatkiem - regularnie uczestniczył w łupieżczych rajdach swojego szczepu. Jednakże pewnego dnia całe jego plemię zostało wyrżnięte przez wojowników Arcykapłana Boga Węża, a on sam dostał się do niewoli.

Umieszczony w kamieniołomach jako jedyne z pracujących tam dzieci dzięki swojej sile i determinacji dożył okresu dojrzewania. Później jako gladiator podbijał zarówno areny królewskich stolic, jak i serca niewieście. Wszakże próżniacze życie, polegające na zabijaniu mało wymagających przeciwników i zaspokajaniu bardzo wymagających zmanierowanych kobiet, wreszcie mu się znudziło. Którejś nocy uciekł, zostawiając za sobą splendor miast, sławę niepokonanego gladiatora, luksusowe życie, dobre jedzenie i trunki w nieograniczonym zakresie. Tego ostatniego najbardziej żałował.

Odtąd błąkał się po świecie, doskonaląc się w sztuce zabijania. Zwiedził archaiczne grobowce królestw południa, gdzie zmagął się z ożywionymi mumiami. Przemierzał morza i oceany jako pirat i korsarz, szkolił się w mieczu u wschodnich mistrzów, był najemnikiem chyba we wszystkich armiach świata.

Pewnego razu dokonał zemsty na oprawcy swojego plemienia. Nawet się specjalnie nie starał, gdyż mścicielem wbrew krążącym legendom nie był. Między bajki należy włożyć opowieść, jak to przy pomocy zamorskiego złodzieja i pięknej wojowniczkii (tak na marginesie, wojowniczkii piękne są tylko w legendach, w rzeczywistości są krępe, niskie i czuć od nich) uknuł szczywany plan zemsty na Arcykapłanie Boga Węża. Prawda jest prozaiczna aż do bólu. Kiedy głód stał się dokuczliwy, zaczął się na trakcie na jakiegoś handlarza, którego mógłby złupić. Pech chciał, że akurat przejeżdżał tamtędy ów Arcykapłan ze swoją doborową świtą. Po krótkiej i niezbyt ciężkiej walce przy życiu ostał się jedynie nasz bohater. Zebrał łupy, odciążając zabitych z sakiewek, i ruszył dalej. Prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, kogo pozbawił życia i że właśnie dokonał mimowolnej zemsty.

Jeśli to wszystko co o nim mówią, jest prawdą, nie dziwię się, że po takich przeżyciach stał się tym, kim jest obecnie. Mimo że nazywają go różnie, to zawsze z nabożną czcią zaczynają wielką literą: Dominator, Uzurpator, Niszczyciel, Zwycięzca, Zdobywca.

A ja nazywam go po prostu Barbarzyńcą. Jego kronikarz, a jednocześnie mag drugiego poziomu.

* * *

Doprawdy nie wiem, jak dałem się wciągnąć w tę aferę z Królestwem. Może to kwestia opróżnionego bukłaka z winem, może zmysły miałem stepione po ostatniej wizycie w portowej dzielnicy uciech? Może byłem już zmęczony wieczną tułaczką, a wizja luksusów, klejnotów, kobiet chętnych

na każde skinienie była dobrą motywacją do działania? W każdym razie nie oponowałem, kiedy Barbarzyńca przedstawił swój, na pewno przemyślany, podparty głęboką analizą i doświadczeniem, plan strategiczny:

- Chcę być królem!

W niecałe trzy dni od wypowiedzenia tych słów znaleźliśmy się na dziedzińcu pałacu najpotężniejszego z królestw tego świata. Doskonale wyszkolona armia broniąca serca kraju była rozbita. Ostatni z obrońców albo pochowali się po okolicznych wioskach, czekając na lepsze czasy, albo pierzchli za granicę, prosząc o azyl. Jeszcze nie mogłem w to uwierzyć, ale nierealny plan Barbarzyńcy się powiódł.

Spojrzałem na niego. Zapał bitewny jeszcze w nim nie ostygł i w stalowoniebieskich oczach dostrzegłem tak charakterystyczny dla niego błysk szaleństwa. Wiedziałem, że w takich chwilach nie jest w stanie myśleć, zresztą w innych też nie za bardzo z tym myśleniem mu wychodziło. Ale od tego miał przecież mnie.

- Szybko! Musimy dotrzeć do sali tronowej, zanim król ucieknie – krzyknąłem.

Doskonale zdawałem sobie bowiem sprawę, że to właśnie korona jest symbolem władzy.

Rzuciłem się do pałacowych drzwi i spróbowałem je pchnąć, lecz nie ustąpiły. Musiały być zaryglowane. Barbarzyńca napał na nie całą masą swojego potężnego ciała, drewno trzasnęło, drzwi się rozpadły w drzazgi.

Wpadliśmy do środka i znaleźliśmy się na skrzyżowaniu korytarzy. Otaczały nas gobeliny, obrazy, rzeźby, a podłoga wyłożona była czerwonym dywanem. Na podziwianie wystroju i dzieł sztuki przyjdzie czas później, pomyślałem. Najpierw ważniejsze sprawy. Przymknąłem oczy i rzuciłem czar Lokalizacji.

- Tędy! – wskazałem przed siebie.

Pobiegliśmy. Nieliczni dworzanie, którzy nie zdołali ewakuować się z pałacu w porę, próbowali chować się po kątach. Od czasu do czasu Barbarzyńca jakby od niechcienia ciał któregoś ostrzem miecza. Wtedy dawał się słyszeć głośny krzyk, a potem stłumiony jęk umierającego. Damy dworu zaś wyległy ochoczo na korytarz, usłyszawszy, że barbarzyńcy wdarli się do pałacu, i wyczuwając w powietrzu testosteron.

Wreszcie, po minięciu labiryntu korytarzy, przedarciu się przez zdesperowane i wieszające się naszych ramion niewiasty, dotarliśmy do sali tronowej. Porażała swoim ogromem i majestatem. Pod wysokim sklepieniem wisiły żyrandole oświetlające całą salę, obrazy przodków na ścianach przypatrywały się nam z niesmakiem.

- Gdzie król? – mój kompan nie był estetą i nie tracił czasu na

podziwianie wystroju pomieszczenia.

Pośrodku sali stał zdobny w ornamenty i obity szkarłatem tron. Zakłęcie lokalizacyjne jeszcze działało, więc „trzecim okiem” dostrzegłem schowaną za siedziskiem skuloną postać. Wskazałem ją Barbarzyńcy palcem i okrążyliśmy tron z dwu stron.

Król był mizernej postury, łysiejącym pokurczem z plاتفusem. Drżał jak osika, kiedy Barbarzyńca uniósł go jedną ręką.

- Nigdy nie zrozumiem, jak tacy królami zostają – pokręcił głową mój towarzysz.

- Dynastia. Przekazują sobie władzę z pokolenia na pokolenie – wzruszyłem ramionami.

- W mojej rodzinnej krainie władzę trzeba sobie wywalczyć. Dzięki temu wodzem zostaje najsilniejszy z mężów.

- Co kraj, to obyczaj. – Niezbyt obchodziły mnie barbarzyńskie sposoby zdobywania politycznych wpływów.

- Litości! – jęknął król.

- Że co? – zdziwił się Barbarzyńca, gdyż w jego słowniku nie istniało takie wyrażenie. Dla ludzi jemu podobnych nie istniał nawet taki stan emocjonalny, więc nie trudzili się szukaniem nazw na coś, co pozostaje w sferze abstrakcji.

Barbarzyńca postawił króla na ziemi i jednym cięciem pozbawił go głowy, a tym samym władzy. Schylił się po koronę, chwycił ją gdy ta jeszcze toczyła się po posadzce, i nasadził ją sobie na głowę.

- Teraz, kurna, my – powiedział z dumą.

2. Trudno być królem

Tworzenie nowych struktur państwowych nie jest prostą sprawą. Tylko w bajaniach wioskowych dziadów, legendach i propagandowych kronikach ignorantów wszystko jest zawsze łatwe i proste. Wojownik podbija królestwo tudzież żeni się z piękną księżniczką, a następnie rządzi długo, sprawiedliwie i czasami nawet szczęśliwie.

Bzdura.

Rządzenie to nie tylko sprawowanie władzy wykonawczej w stosunku do niewiast i opróżnianie królewskiego skarbcza, ale również sterowanie resortami, polityką wewnętrzną i zewnętrzną kraju, działania dyplomatyczne, ustalanie budżetu, planowanie przychodów i rozchodów, ratyfikacje umów międzynarodowych oraz wdrażanie reform.

Tak więc, zamiast opływać w luksusy i oddawać się beztroskiej zabawie, tworzyłem nowe struktury wojskowe i administracyjne,

dymisjonowałem ministrów poprzedniego reżimu, nadawałem stanowiska nowym, przyjmowałem delegatów z zaprzyjaźnionych państw, wydalałem ambasadorów wrogich. Ślęczałem całe dni i noce w bibliotece, przeglądając dokumenty, rozporządzenia i raporty finansowe.

Obecny król miał zaś w głębokim poważaniu administrowanie swoim państwem, a skupił się na zgodnym z kanonem podejściu do królewskich powinności. Czas spędzał na polowaniach, musztrowaniu żołnierzy i opróżnianiu piwniczki z win, jak również na grach towarzyskich, których był wielkim admiratorem. Zazwyczaj były to partyjki kości lub kart rozgrywane ze zwykłymi żołnierzami lub podoficerami. Dziwne, że wygrywał nawet z największymi szulerami.

Tak było do czasu, aż nie znalazł sobie lepszego zajęcia. Zdarzyło się to pewnego dnia podczas jednej z niekończących się audiencji. Nie mam pojęcia, jak udało mi się tego barbarzyńcę namówić, żeby co najmniej raz w tygodniu wytrzymał kilkugodzinne posłuchanie. Kosztowało go to dużo samodyscypliny, a mnie cierpliwości. Nawet wydałem sam sobie za to medal z królewskiego skarbcza.

Król ubrany w aksamitną, długą szatę zasiadł na tronie. Oczywiście kręcił się niemiłosiernie i drapał gdzie popadnie. Nieprzyzwyczajony do ubrań, co chwilę podciągał rękawy do łokci, szarpał kołnierz, aż w końcu rozdarł materiał, usiłując założyć nogę na poręcz siedziska. Zirytowany usadowił się w końcu jakoś pokracznie, przygarbił i przybrał ponurą minę. Ten potężny Barbarzyńca, który przeżył imponującą liczbę niebezpiecznych przygód, który mierzył się z najstraszliwszymi bestiami, który rabował mistyczne świątynie przedwiecznych bogów, który pokonał w walce niezliczonych wrogów, teraz siedział jak zbity pies, wpasowany w ramy cywilizacji.

Jako jego doradca, prawa ręką i szara eminencja stałem obok tronu i służyłem radą lub tłumaczyłem królewskie słowa. W czołobitnej postawie klęczeli przed nim prawodawcy i legislatorzy, domagając się określenia podstawowych praw dla ludu.

- Po co komu kodeks karny? Ludzie dogadają się między sobą – powiedział król, nie przerywając wydłubywania z zębów resztek jedzenia.

- Wasza wysokość! Ależ tak nie można! Prosty lud potrzebuje regulaminów. Nie możemy wierzyć w ich zdrowy rozsądek i moralność – odezwał się niewysoki, chuderlawy mężczyzna z głęboko wciśniętymi na nos okularami.

- Eee... najwyżej dadzą sobie po razie i będzie spokój.

- Miłościwie nam panujący król – rozpocząłem patetycznym tonem

- uważa, że poddani sami uregulują stosunki społeczne na drodze wzajemnego dialogu – przetłumaczyłem.

- O to, to... właśnie o to mi chodziło – ucieszył się Barbarzyńca. Można powiedzieć, że łączyła nas swoista symbioza: on działał, ja myślałem, ja mówiłem, on milczał. Niestety nie zawsze... - Pamiętam, jak kiedyś – zanosilo się na to, że zaraz podzieli się z nami jakąś karczemną, barbarzyńską opowieścią – razem z Różową Sonią poszłem na...

- Poszedłem – poprawił odruchowo chudy legislator.

- Co? – zdziwił się Barbarzyńca.

Legislator uklonił się głęboko.

- Mówi się poszedłem, nie poszłem, mój panie.

Król spurpurowiał na twarzy, na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka, chwycił się prawego boku, gdzie zazwyczaj nosił miecz. Na szczęście wymusiłem na nim, żeby do sali tronowej oręza nie wnosił. Zbyt dużo zachodu kosztowało potem czyszczenie posadzek z krwi.

- Ściąć go! – zwrócił się do stojących za nim gwardzistów. Żołnierze natychmiast wywlekli wierzgającego, szamoczącego się i wrzeszczącego legislatora. Pozostali prawodawcy szybko się ulotnili.

- Został ktoś jeszcze? Nudzi mnie już ta audiencja i głodny jestem – mruknął Barbarzyńca.

- Jeszcze tylko wysłannik Wielkiego Sultana – odpowiedziałem.

- Czego chce? – zapytał zniecierpliwiony.

- Z darami przybył.

- A, no to go dawaj.

Przed majestatem królewskim pojawił się śniady mężczyzna noszący się na południową modłę w powłóczystej białej szacie i turbanie na głowie.

- Witaj, o Najjaśniejszy! Gwiazdo Zaranna! Ty, Który Spojrzeniem Palisz Swoich Wrogów, Mieczu Północy i Sprawiedliwy Władco Uciśnionych... – Poseł padł na twarz i zaczął bić pokłony.

- Streszczaj się, bo żreć mi się chce... – przerwał mu król.

- Miłościwie nam panujący powiada, żebyś możliwie szybko przedstawił swoją sprawę, gdyż jego wysokość raczy udać się na wieczerzę i spożyć posiłek – przetłumaczyłem, a Barbarzyńca spojrział na mnie zdziwiony. W jego oczach wyczytałem pytanie: że co?

- Wielki Sultan Maik Ab Nahad ed-Bin Musstafa ibn Eyuub prosi, żebyś na znak przyjaźni przyjął od niego ten niewielki podarunek. – Wysłannik klasnął w dłonie i przez drzwi zaczęły wchodzić kobiety. Każda z nich skąpo ubrana, a jedna piękniejsza od drugiej.

- Panie! Przyjmij dar tysiąca najurodziwszych dziewic naszej ojczyzny.

Nie mogliśmy wykszusić z siebie słowa, obserwując przemarsz roznegliżowanych dziewcząt, nie zwróciliśmy nawet uwagi, kiedy jeden ze strażników upuścił z wrażenia halabardę. Powiadają, że tysiąc nagich dziewczic czyni mniejsze wrażenie niż jedna. Bzdura. Tysiąc to zawsze więcej niż jedna. Nie muszę chyba dodawać, że król dar wspaniałomyślnie przyjął i z zapalem zabrał się za rozpakowywanie prezentu.

Barbarzyńca przez kilkanaście dni i nocy nie wychodził ze swojej sypialni, dodając do niezliczonych przydomków tytuł Jebaki, a ja mogłem spokojnie realizować politykę państwa.

3. Wojna moja miłość

- Mamy problem – powiedziałem, ciężko wzdychając.

Spożywaliśmy właśnie posiłek przy olbrzymim stole w pałacowej jadalni.

- Co?! – Siedzący po drugiej stronie król mnie nie dosłyszał.

Długość stołu denerwowała go niezmiernie, gdy musiał przejść te kilka metrów, żeby nalać sobie wina z dzbana umieszczonego na środku. Nie mogłem mu wytłumaczyć, że dolewanie do kielichów to powinność służących. Zdaje się, że mimo kilku miesięcy panowania nadal nie rozumiał instytucji służącego.

- Mamy problem! – krzyknąłem.

Jego oblicze natychmiast się ożywiło, stalowoniebieskie oczy rozbłysły, a na ustach pojawił się zawadiacki uśmiech. Tak się złożyło, że kilka dni temu ostatnia z dziewic przysłanych przez sułtana została rozdiewiczona, więc włączył się znudzony po pałacu i tylko czekał na rozróbę.

- Mów! – Jego uśmiech stawał się coraz szerszy.

Problemy były jego specjalnością, niestety nie moją. Ciężko pracowałem przez ostatnie miesiące na dobrobyt poddanych, no i oczywiście nasz. Przede wszystkim nasz. Opodatkowałem kupców, podwyższyłem opłaty celne, obniżyłem akcyzę na alkohol. Pieniądze do skarbu państwa płynęły i żał mi było zwijać tak świetnie prosperujący interes. Niestety sytuacja zrobiła się nieciekawa. Wyglądało na to, że trzeba będzie zrezygnować z królowania i wrócić na trakt.

- No więc... – rozpocząłem z pewną dozą nieśmiałości, błędząc spojrzeniem po malowidłach ściennych. – Mając na uwadze dobro królestwa, podjąłem negocjacje handlowe z Zachodnią Marchią, której towary objęte są embargiem, a sułtan na to zarządził blokadę ich portów. A musisz wiedzieć, że wina z Zachodniej Marchii stoją po pięć sztuk złota za baryłkę, sukna zaś nigdy nie spadają niżej niż dwie sztuki złota za belę. Tak więc w celu zachowania równowagi na rynku i proporcji pomiędzy popytem

a podażą zawiązałem porozumienie z wolną kompanią morską, która miała za zadanie neutralizować sułtańskie okręty. Natomiast niezależni kupcy zobowiązali się dostarczać towary do naszego królestwa, a my jako pośrednicy w dalszej dystrybucji otrzymaliśmy czterdzieści procent marży.

Spojrzałem na króla. Otworzył szeroko usta, a w jego oczach nie dostrzegłem nawet małej isierki zrozumienia. Ponownie ciężko westchnąłem i powtórzyłem jeszcze raz w języku bardziej dla niego zrozumiałym:

- Chciałem dla nas nieco złota wyhaczyć i dogadałem się z pewnymi ludźmi, co nam fanty dostarczą, a my je dalej opchniemy. Problem w tym, że sułtan ze swoimi okrętami na karku im siedzi i na dno posyła każdy statek handlowy, co się tylko z portu ruszy. Więc dogadałem się z piratami, co by te ich okręciki trochę poszczerbili, a w tym czasie przemytnicy nam towar przywiozą.

Zrozumiał i na jego twarzy ponownie zagościł wielki szczery uśmiech. Zęby błysnęły nieskazitelną bielą. Często zastanawiałem się, jak on to robi. Widziałem, jak kiedyś niewielką szczotką zęby szorował, a potem nawet odpruł kawałek nitki z ubrania i tą nitką szpary między zębami czyścił. Zaiste, Barbarzyńca z niego.

- Szczwany plan. A więc w czym problem? – zapytał.

- Sułtan od swoich wywiadowców dowiedział się o planowanym przedsięwzięciu.

- Wywiadowców?

- Teoretycznie przyjęliśmy pod swój dach tysiąc potencjalnych szpiegów.

- Myślisz o tych dziewicach? – był zdumiony.

- Tak.

- A kiedy one miały czas szpiegować, jak cały czas były zajęte moją osobą? – roześmiał się szczerze.

- Może masz rację? – zamyśliłem się.

Istniała jeszcze ewentualność, że to ktoś z wyższego szczebla administracyjnego. Za dużo czasu zmitrężyłem, powinienem od razu zrobić czystkę i obsadzić kluczowe stanowiska wywiadowcze zaufanymi ludźmi. Teraz już było za późno, stało się i należało pomyśleć, jak problem rozwikłać. Niestety żadne rozsądne rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy.

- Mniejsza z tym, jak się dowiedział, ważne, co zamierza. A musisz wiedzieć, że właśnie kieruje się ku naszej granicy z prawie ćwierćmilionową armią – powiedziałem smętnie.

Król poderwał się z krzesła. Wyprostował się dumnie, a z każdego

jego gestu tryskała radość. Zdawało się, że krew w jego żyłach przyśpieszyła, a tętno rozsadzi mu zaraz czaszkę.

- Wybornie! – wykrzyknął. - Nareszcie coś się dzieje!

Tym oto sposobem nasze królestwo znalazło się w stanie wojny.

* * *

- Jakież propozycje? – spytałem.

Spojrzałem na ponure i zaszępiłe twarze marszałka, kilku generałów i dyplomatów oraz jednego arcymaga - uczestników narady wojennej. Spuścili głowy w milczeniu. Tylko król się dobrze bawił. Powrócił do swojego stroju bojowego, co praktycznie oznaczało, że znowu półnagi paradował po pałacu. Odprężony, gotowy do walki, pełen zapału, słowem: znalazł się w swoim żywiole. Widocznie widmo rychłego konfliktu działało na niego pozytywnie. Na mnie wręcz przeciwnie.

- Jakież pomysły? – ponowiłem pytanie.

- Z sułtanatu został wydalony nasz ambasador. Już nic nie możemy zrobić – bezradnie rozłożył ręce jeden z mężów stanu.

- To prawda. Wyczerpaliśmy już wszystkie drogi dyplomatyczne – kiwnął głową drugi.

- Pod względem militarnym jesteśmy na straconej pozycji – włączył się do dyskusji marszałek. – Potędze Wielkiego Sułtana możemy przeciwstawić co najwyżej czterdzieści tysięcy piechoty, z czego większość to lekko zbrojni poborowi, oraz trzydzieści chorągwi jazdy. To wszystko. Będzie tego razem może pięćdziesiąt tysięcy dusz. Zależą nas masą...

- Możemy przecież obwarować forty i miasta... – wtrąciłem.

- Nie będziemy jak szczury chować się po kątach! – zakrzyknął król. – Staniemy na otwartym polu, jak na wojowników przystało. Sam poprowadzę atak na czele mojej gwardii przybocznej.

Dwaj gwardziści z halabardami, pełniący straż przy drzwiach, spojrzeli na siebie niepewnie. Morale naszego wojska prezentowało się mizernie.

- Oparcie obrony na obwarowaniu i osadzeniu wojska w miastach to nie jest dobry pomysł – pokręcił głową marszałek. – Po pierwsze, największą siłą Królestwa zawsze była jazda i walka na otwartym terenie. Po drugie, mieszkańcy są niechętni wojnie. Podejrzewam, że sami otworzyliby bramy najeźdźcom, jeśli tylko zagwarantowano by im nienaruszalność dóbr materialnych. Nienaruszalność kobiet niekoniecznie.

- A czarodzieje? – zwróciłem się do arcymaga. – Wszak losy wojen nie raz magia rozstrzygała.

Staruszek o bielusieńkich jak śnieg włosach pokręcił ze smutkiem głową.

- Na obecną chwilę nie dysponujemy zadowalającą liczbą magów wojennych. Poprzedni władca, obalony przez jaśnie oświeconego i obecnie nam panującego króla, nie cenił sobie tej dziedziny nauki. Akademia podupadła, znaczniejsi magowie wyemigrowali, a ci, co pozostali, to akademicy. Prędeż im do laboratoriów naczynia alchemiczne przekładać, w menzurkach ciecze mieszać, niż na pole bitwy ruszać. Może znajdzie się z tuzin czarodziejów na trzecim i czwartym poziomie magii wojennej.

Zakląłem siarczyście. Zdaje się, że przegraliśmy wojnę, zanim się rozpoczęła. Tylko Barbarzyńca wydawał się zadowolony. Właśnie wypróbował swój miecz i ostro ciął powietrze.

- Musisz, panie, zasięgnąć porady wyroczni – stwierdził arcymag.

4. Za zasłoną przeznaczenia

Kręte schody ciągnęły się bez końca. Nic dziwnego, wspinaliśmy się przecież na najwyższą budowlę w całym Królestwie. Na Wieżę Żyrafy. Nikt nie wie, dlaczego tak została nazwana. Podobno przypomina konstrukcją to szlachetne zwierzę z południowych, gorących krain. Obszerny gmach świątyni powszechnej, w którym raz dziennie kapłani odprawiają msze dla spójności, znajduje się u podstawy. Na nim stoi wysmukła wieża, zwieńczona nadbudówką przypominającą właśnie pysk żyrafy. Tam znajdowała się komnata Wyroczni.

- Tchu mi już brakuje. Idziemy dobre dwie klepsydry, a szczytu wciąż nie widać – jęczałem, ciężko dysząc.

- Jeszcze trochę. – Barbarzyńca nie był w ogóle zmęczony, a ja człapałem za nim noga za nogą, z językiem na wierzchu i wzrokiem utkwionym w kolejnych schodkach.

- Pamiętam, jak kiedyś wspinałem się na podobną wieżę... – Król rozpoczął kolejną ze swoich przechwałek. – Nazywali ją Wieżą Słonia. Ha! Nie było mowy o schodach, musiałem wspinać się po ścianie. Ciężko było.

- To po co na nią włąziłeś?

- Jedno ze złodziejskich zleceń.

- Mam nadzieję, że było warto? – rzuciłem zgryźliwie.

Barbarzyńca nie wyczuł ironii, wspinał się chwilę w milczeniu.

- Złota i klejnotów tam nie znalazłem, ale było warto. Dla wiedzy o wszechświecie – odezwał się nagle zmienionym i natchnionym głosem.

Aż przystanąłem z wrażenia. Podniosłem wzrok i spojrzałem na niego, a raczej na jego potężnie umięśnione plecy. Nie wiedziałem, czy od wysiłku

mam omamy słuchowe czy w tej właśnie chwili mój półinteligentny przyjaciel wyraził pochwałę dla wiedzy kosztem dóbr materialnych. Ciekawe, co naprawdę zdarzyło się w Wieży Słonia? Muszę go kiedyś o to zapytać. Ruszyłem dalej.

- Nie lubię tych wszystkich wyroczeni – mruknął swoim zwykłym, zgryźliwym barbarzyńskim głosem.

Co za zmiana nastroju, pomyślałem.

- Czemu?

- Przez seks – odparł.

Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku chwil osłupiałem.

- Jak to? – wydukałem.

- No bo... te wieszczki to dopiero pod wpływem rozkoszy obcowania cielesnego przyszłość przepowiadają. A nie wszystkie są młode i atrakcyjne...

- Skąd ci się takie bzdury wzięły? – wybuchnąłem śmiechem.

Barbarzyńca przystanął, odwrócił się i ujrzałem jego pochmurne oblicze.

- Twierdziły, że inaczej się nie da – wzruszył bezradnie ramionami.

- I ty, biedaku, wierzysz we wszystko, co ci kobiety powiedzą?

- Ale to przecież kobiety wiedzące.

* * *

Znaleźliśmy się w niewielkiej komnacie. Mrok rozświetlały jedynie łuczywa na ścianach. Pomieszczenie niczym nie różniło się od komnaty mieszkalnej – skrzynia na odzież, dzbany z wodą, misy, w rogu łożo z baldachimem. Było tylko gorzej oświetlone i wypełnione dymem kadzidełek. Pośrodku stał wysoki, przesłonięty płachtą trójnóg. Za zasłoną majaczył cień postaci kobiecej siedzącej w pozycji kwiatu lotosu. Przysiągłbym, że kobieta jest naga. Może więc Barbarzyńca miał rację z tym seksem. Jak znam życie, to on będzie musiał dopełnić obowiązku względem wyroczeni. Chętnie zdjąłbym z niego ten ciężar, nie tylko ze względu na łączącą nas przyjaźń. Cień postaci wyglądał naprawdę ponętnie.

Już chciałem mu to zaproponować, kiedy pomieszczenie wypełniało się szkarłatnym, gryzącym dymem. Słyszałem, że wyroczenie często odurzają się etylenem w celu wzmocnienia swoich wizji. Niełatwo jednak zdobyć w dzisiejszych czasach trawertyn, więc kupują od alchemików różnego rodzaju substytuty, które niestety nie zawsze zdają egzamin, powodując jedynie mdłości i zwyczajny smród.

Postać za zasłoną poruszyła się. Uniosła smukłą dłoń i skinęła palcem.

- Zbliż się, królu. – Głos Wyroczni był szczytem erotyzmu obiecującym cuda zarówno cielesne, jak i prekognicyjne.

- Mam się rozebrać? – westchnął znużony.

- Co?! – Symfonię erotyzmu w głosie Wyroczni zastąpiła kakofonia gniewu. - Jak śmiesz, prostaku?! Wiem, że zostałeś królem wyżynając sobie mieczem drogę do tronu, przybywając tu prosto z gościńca. Wiedziałam, że z ciebie barbarzyńca i nieokiełznaniec. Ale twoja bezczelność przekracza wszelkie granice!

Spuściliśmy głowy, wpatrując się ponuro w podłogę.

- Ty wiesz, kim ja jestem?! – syczała wściekle Wyrocznia. – Jestem wybranką bogów. Wieszczką przyszłych zdarzeń. Przeze mnie przebiegają nici tego co było, tego co jest i tego co będzie. Namaszczona przez czas swoją wiedzę przez wieki przekazywałam władcom tego królestwa!

Jeszcze niżej spuściliśmy głowy.

- Nagle zjawiasz się ty! Włóczęga bez domu, głupiec bez zasad, prymityw bez wykształcenia. Ledwo otworzyłeś gębę i już mnie obraziłeś. Bogowie! Widzicie, a nie grzmicie! Ja mam temu prostakowi służyć przepowiednią? Ja, którą pożąдали królowie wszystkich ziemskich narodów! Ja, która całowałam Władców Piekieł? Ja?!...

Wieszczka westchnęła ciężko i poprawiła kosmyk włosów, który w gniewie opadł jej na twarz.

- Posłuchaj, Barbarzyńco – przeszła w szept, a my nastawiliśmy uszu. – Tutaj ja dyktuję warunki. Rozumiemy się?

- Tak jest, proszę pani – szybko potakiwaliśmy.

- No.

Kobieta za zasłoną wzniosła do góry ręce i zaczęła inkantację:

- Bogowie Wschodu i Zachodu! Bogowie Północy i Południa! Obdarzcie mnie mocą spojrzenia w przyszłość! Co się stanie? Jaka drogę wybrać? Jaki nam zgotujecie los? Proszę was o wizję, proszę was o radę!

Dość długo wychwalała bogów, zanosząc ku nim prośby i zaklęcia. Obawiałem się, że może to potrwać jeszcze dobrych kilka godzin, a i tak niczego się nie dowiemy.

Zdaje się, że na nic ta cała wspinaczka, tylko kolan szkoda, pomyślałem i spojrzałem na Barbarzyńcę. Ziewał znudzony. Już chciałem zaproponować, żebyśmy sobie poszli, kiedy Wyrocznia przerwała litanię do bogów i zwróciła się do nas:

- A teraz, królu, niech twój pomagier wyjdzie, a ty się rozbieraj.

* * *

- Musimy pozyskać sojusznika – powiedziałem.

Ponownie siedzieliśmy w sali obrad, w tym samym składzie co poprzednio. Marszałek, kilku generałów i dyplomatów oraz jeden arcymag wpatrywali się we mnie w zdumieniu. Tylko król, rozmarzony, wbił wzrok w sufit i szczyrzył zęby w uśmiechu. Nieźle pobudziła go ta sesja prekognicyjna.

- Jak? Kogo? Skąd? – odezwał się jeden z dyplomatów.

- Kto postawi się Wielkiemu Sułtanowi? Nawet nasi sąsiedzi, władcy Zachodniej Marchii udają, że w ogóle nie istniejemy, a najemnicy za żadną cenę nie chcą dla nas walczyć.

- Nikt nie będzie chciał umierać za nasze królestwo.

- Moje królestwo. – Wzrok Barbarzyńcy stał się nagle niezwykle przenikliwy, a uśmiech wygasł. – Nikt nie będzie umierał za m o j e królestwo.

- Tak jest, najjaśniejszy panie. – Dyplomata szybko pokajał się w ukłonie. Wiedział, że król ma twardą rękę.

- To było tylko semantyczne nieporozumienie – powiedziałem łagodząco. – Musimy się zastanowić, skąd pozyskać sojusznika.

- Czy możesz, panie, dokładnie powiedzieć, o co chodzi? – zapytał arcymag.

- Ze względu na to, że król nie posiada pamięci do długich tyrad – a tak po prawdzie to również do wszelkich ciągów wyrazowych dłuższych niż trzy, cztery słowa - zacytuję wam, co Wyrocznia wyjęczała... znaczy się wywieszczyła.

Zaiste, nadejdzie taki dzień, gdy Królestwo zostanie zagrożone.

Jego synowie i córki staną w obliczu straszliwego niebezpieczeństwa.

Zło wypęcznie z piasków południa, podniesie łeb w gorącym słońcu.

Masa niezliczonych i okrutnych wojowników zaleje nasze ziemie.

Zabije naszych mężów i zniewoli nasze kobiety.

Natenczas Królestwo musi pozyskać sojusznika w swojej walce.

Sojusznika, który rekrutuje swoją armię po stronie śmierci.

Król musi go ujarzmić, narzucić swoją wolę.

Wtedy dojdzie do wielkiej bitwy, która będzie naszą wiktoria.

I królowa wróci na stolicę.

- Raczej król wróci na stolicę – poprawił arcymag.

- Tak. Oczywiście, że król – powiedziałem z roztargnieniem. – Na schodach słabo było słyszeć. Musiałem ucho do drzwi przykładać.

- Podśłuchiwałeś mnie!? – ryknął oskarżycielsko Barbarzyńca.
 - A jak inaczej poznalibyśmy słowa Wyroczni? – odparłem. – Przecież wasza królewska mość nie raczył słuchać mistycznych bzdur.
 - Rzeczywiście... – Król znowu pograżył się we wspomnieniach erotycznych harców.
 - Coś jeszcze wieszczęła? – zapytał arcymag.
- Zamyśliłem się na chwilę i przypomniałem sobie:

*Nadchodzi, nadchodzi, nadchodzi...och, och, och,
Szybciej, mocniej, szybciej, mocniej... J U Ź!
A teraz weźmiesz mnie od tyłu.*

- Cóż za prekognicja – uśmiechnął się arcymag. – Ufam, że przepowiednia się spełniła.
- Nawet dwa razy – mrugnąłem porozumiewawczo. – Ale my tu sobie żartujemy, a sprawa jest poważna. Według Wyroczni musimy znaleźć sojusznika, który rekrutuje swoją armię po stronie śmierci. Co to znaczy?
- Myślę, że znam odpowiedź – odezwał się siedzący do tej pory w ponurym milczeniu marszałek. – Nekromanci!
- Faktycznie! Przecież powołują do życia umarłych wojowników – chwycił się za głowę jeden z generałów. – Słyszałem, że jedna armia szkieletów potrafi spustoszyć całe królestwa. Podobno są nie do zatrzymania w swoim pochodzie. Nie mają się ich ani bełty kusz, ani strzały z łuków. Nawet zaostrzone włócznie i miecze nie czynią im krzywdy.
- Gdzie tych nekromantów znaleźć? – zapytałem.
- Na dalekich północnych rubieżach królestwa – wtrącił marszałek. – Tam, gdzie tylko kurzawy śnieżne szaleją, a ludzkie osady dawno przestały istnieć. Tam, gdzie lodowiec wytycza granicę między światem ludzi a dziedzinami bogów, znajdują się ponure pałace nekromantów. Niegdyś byli ludźmi, magami, którzy wydarli bogom wiedzę wiecznego życia. Zatopieni w swoich księgach i alchemicznych doświadczeniach zapomnieli o świecie, ale od czasu do czasu któryś z ich Lordów przypomina sobie o zapomnianych emocjach i namiętnościach. A trzeba wiedzieć, że ich pragnienia są ohydne i złe. Powołuje wtedy do życia armię umarłych i wiedzie ją na podbój świata, dając przy tym upust swoim plugawym żądom. Szkielety są niezwykłe, kroczą od zwycięstwa do zwycięstwa. To, że jeszcze świata nie podbili, zawdzięczamy temu, że Lordów nekromantów dość szybko nudzą ziemskie sprawy i wracają do swoich dziedzin, zatapiając się w mrocznych medytacjach.

- Jak ich nakłonić, żeby walczyli dla nas?
- Wyrocznia powiedziała, że król musi ujarzmić Najwyższego Lorda nekromantów, który ma najbardziej zdegenerowaną duszę i jest najokrutniejszą istotą, jaką ziemia zrodziła. Stanąć przed nim i siłą swojego charakteru narzucić mu swoją wolę. Wtedy pozyskamy go jako sojusznika.
- To się nie godzi! – Arcymag podniósł się zbulwersowany z krzesła.
- To świętokradztwo. Jeszcze nikt nie sprzymierzył się z nekromantami!
- Zawsze musi być ten pierwszy raz – uśmiechnąłem się.

5. Piękno zjawilo się nocą

Leśna droga wila się serpentyną wśród brązowo-zielonej szachownicy jesiennych liści. Słońce stało nisko na horyzoncie, mizernie obdarzając świat swoim ciepłem. Im dalej na północ, tym chłód stawał się dokuczliwszy. Tylko patrzeć, aż pojawi się pierwszy śnieg.

- Ja rozumiem, że jako król musisz stanąć na wysokości zadania. Dotrzeć do dziedziny nekromantów i spróbować, powtarzam: spróbować ujarzmić ich władcę. Wymaga tego od ciebie piastowane stanowisko i jak to nazywasz: honor – marudziłem idąc obok Barbarzyńcy - Ale po co ciagniesz mnie tam ze sobą, tego już nie potrafię zrozumieć.

- Razem to zaczęliśmy i razem skończymy – mruknął. Spojrzałem na niego spode łba. Jak zawsze rozluźniony i pewny siebie, śmiało stapał po drodze, która prowadziła nas w niepewną przyszłość. Co nas mogło czekać na mroźnej północy, jak nie śmierć? Jeśli nie zamrozniemy, zjedzą nas wilki lub niedźwiedzie. Ewentualnie może uda nam się zrealizować zamierzony cel i dotrzemy przed oblicze Lorda nekromantów, żeby tam grzecznie polec u jego stóp.

- Czy ty w ogóle masz jakiś plan? Masz jakiś pomysł? Wiesz, jak to rozegrać? – pytałem zirytowany. Myśl o niechybnej śmierci zawsze wprowadzała mnie w taki stan.

- Nie – odparł spokojnie.

Prychnąłem pod nosem.

- Jak to sobie wyobrażasz? He? Zapukasz do zamku nekromantów i powiesz: „Dzień dobry, jestem królem takiego jednego małego królestwa na południe od waszych dziedzin. Czy mógłbym pożyczyć armię szkieletów?” A wtedy ich Lord w ramach sąsiedzkiej pomocy dołoży wszelkich starań i użyje swojej mocy w celu rozwiązania problemów waszej wysokości. Co? Myślisz, że tak będzie?

Barbarzyńca spojrzał na mnie, lecz w jego spojrzeniu nie dostrzegłem gniewu lecz, o dziwo, zaniepokojenie. Może wreszcie do niego dotarło, że

ujarzmienie nekromantów nie jest tak proste jak obrabowanie świątyni Węża, walka z tygrysami szablozębnymi, lodowymi gigantami z Vanaheim czy choćby podbój Królestwa.

- Jakiś nieswój jesteś – powiedział niemal czule. – Za dużo obowiązków i pracy miałeś w pałacu. Dobrze, że cię wyciągnąłem na tę wycieczkę. Odpoczniesz, poddychasz świeżym powietrzem, kości wyprostujesz. Trochę pobiegasz podczas walki, bo ruchu ci potrzeba. Bładyś i mizerny. Po powrocie rozkażę, żeby kucharz przygotował ci porządny posiłek. A nekromantami się nie martw. Mój wierny miecz jeszcze nigdy mnie nie zawiodł. Potną ich trochę, to będą mi posłuszni. Bo tak naprawdę każdy czuje respekt tylko przed siłą.

Nic nie rzekłem i tylko oczy ku niebu wzniosłem, coby bogowie wszelkich nacji mieli mnie w opiece. Prawdziwe jest powiedzenie: bogowie chronią mnie od przyjaciół, z wrogami sam sobie poradzę. Tak po prawdzie to z wrogami też sobie nie radzę, ale przynajmniej nie pcham się im prosto w ręce.

Zasadniczo.

* * *

Noc zaległa nad światem i pograżyła w mroku niewielką leśną polanę pod rozłożystym dębem, na której zatrzymaliśmy się na nocleg. Korona drzewa miała nas ochronić przed ewentualnym deszczem, choć na deszcz się raczej nie zanosilo, prędzej na śnieg. Każda kolejna noc była coraz mroźniejsza. Każdy kolejny dzień podróży przybliżał nas do Lodowych Pustkowi i dziedzin nekromantów.

Okryłem się szczelnie derką i dorzuciłem drewna do dogasającego ogniska. Gdzieś w górze migotały gwiazdy. Barbarzyńca powiedział kiedyś, że mieszkają na nich istoty podobne nam. Nie chce mi się wierzyć w te bzdury, pewnie usłyszał je w karczmie przy którymś z kolei opróżnionym dzbanie wina. Wydawał się jednak pewny tego, co mówił. Muszę wypytać go dokładnie, skąd ma takie informacje.

Nagle ciszę nocy rozdarło wycie wilka. Za chwilę usłyszeliśmy kolejne i jeszcze jedno. Całe stado, pomyślałem. Muszą być blisko. Barbarzyńca uniósł się na łokciach i zaczął czujnie nasłuchiwać.

- To tylko wilki – mruknąłem.

- Ciii – szepnął.

Zamarłem. W mrocznym lesie na dzikich północnych rubieżach lepiej zaufać instynktowi Barbarzyńcy niż maga drugiego poziomu. Nasłuchiwalimy więc razem odgłosów dobiegających z lasu. Znaczy się, ja

tam nic podejrzanego nie słyszałem, ale na twarzy mojego króla dostrzegłem zaintrygowanie.

Gwałtownie odrzucił derkę, chwycił rękojeść miecza i stanął w postawie bojowej. W tym samym momencie z lasu wybiegła jakaś postać, a za nią cała wataha wilków. Barbarzyńca skoczył, w blasku księżyca zabłysła stal i rozległ się skowyt umierającego zwierzęcia. Ścigana przez wilki osoba padła wyczerpana na ziemię, a Barbarzyńca jął ją osłaniać.

Dopiero teraz wygrzebałem się spod koca i stanąłem na nogi. Rozpocząłem inwokację i za chwilę z moich palców wystrzeliła średniej mocy błyskawica. Poczulem mdły zapach palonego mięsa. Działaliśmy jak dobrze zgrany zespół, Barbarzyńca ciął mieczem po pyskach zwierząt, ja je zaklęciami smażyłem.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy wataha uciekła do lasu. Na placu boju pozostały tylko martwe ścierwa wilków. Ostatni wycofał się olbrzymi basior, prawdopodobnie przewodnik stada. Spojrzał na nas czerwonymi ślepiami tak jakoś z wyrzutem. W końcu pozbawiliśmy ich posiłku.

Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się osobie, której uratowaliśmy życie. To była kobieta! Podniosła się z ziemi. Patrzeliśmy na nią jak zahipnotyzowani, a Barbarzyńca nawet, jak to on, z otwartymi ustami. Ubrana niczym amazońska wojowniczką: skąpy skórzany kaftan odsłaniający oliwkowy brzuch, krótka spódnica do połowy uda i wysokie buty. Zawsze dziwiło mnie, jak kobiety w takim stroju mogą w ogóle iść do boju. Dla mnie logicznym byłoby założenie pancerza kolczego lub nawet zbroi płytowej. Na nogi nagolenice, na ramiona zbrojniki o hełmach i tarczach nie wspominając. No ale spod kirysu nie widać obfitości piersi, spod kończynowych osłon długich i kształtnych nóg, spod hełmu lśniących włosów, a hełm garnczkowy to nawet twarz zasłania. Tak więc kobieca próżność bierze górę nad rozsądkiem.

Z drugiej strony dzięki takiemu ubiorowi zdołała zbiec przed wilkami, gdyż nic nie ograniczało jej ruchów, a my mieliśmy okazję podziwiać jej wdzięki. O oliwkowej skórze i doskonałych nogach już wspominałem. Oprócz tego miała urodę bogini, a długie czarne włosy falowały rozkosznie na wietrze. Jej jakoś w oczy nie wpadały. A propos oczu. Przepastne, czarne i hipnotyzujące. Mieliśmy przed sobą ucieleśnienie snów każdego mężczyzny.

- Dziękuję panom za ratunek – uśmiechnęła się zniewalająco, a ja w tym momencie mógłbym dla niej świat podbić i pójść do samych czeluści piekła.

- Skąd...? – zdołałem tylko wyksztusić, a chciałem zapytać, co tu robi, skąd się wzięła, kim jest, dokąd zmierza, jak możemy jej pomóc i czy

wyjdzie za mnie za mąż. Barbarzyńca nic nie mówił, nadal stał z półotwartymi ustami.

- Pozwólcie, że się posilę, odpocznę przy ognisku i opowiem, skąd się tu wzięłam. I od razu uprzedzam pytania. Nie, nie szukam męża.

* * *

Na imię miała Ałtaja i wychowała się na dalekim wschodzie w jednym z koczowniczych plemion stepowych. Nie była jednak amazonką z urodzenia. Jakieś dwadzieścia lat temu jej przybrany ojciec poprowadził wyprawę na bogate dzielnice zachodnich królestw. Oprócz zrabowanego złota i klejnotów pociągnął za sobą niewolników, w tym małą dziewczynkę szlacheckiego pochodzenia.

Za młoda jeszcze była na nałożnicę, a za piękna, żeby posyłać ją do ciężkiej pracy. Zaskarbiła sobie przyjaźń władcy ordy, który pokochał ją jak córkę. Szybko nauczyła się stepowego życia, walki i szermierki. W boju nie raz pokonywała mężczyzn, a w jeździe konnej nie miała sobie równych. Gdy dorosła, często brała udział w łupieżczych najazdach, rabowała i zabijała.

Nadszedł jednak dzień, kiedy ręka przeznaczenia dotknęła jej plemię. Na stepach pojawiły się wojska sułtana, który w swojej chciwości zagarniał coraz większe obszary. Słonie bojowe stratowały ich lekką jazdę, rydwany zniszczyły obozowiska, żołnierze spalili osady, wymordowali mężczyzn i zniewolili kobiety.

W ostatniej, desperackiej próbie obrony ojczyzny padł w walce jej ojciec i wódz plemienia. Ałtaja, zaciskając zęby z wściekłości i połykając łyzy smutku, była zmuszona do ucieczki. Dysponowała jedynie mieczem i urodą. Z takim potencjałem miała do wyboru cały wachlarz możliwości: mogła zostać dziwką w podrzędnej przygranicznej mieścinie albo najemniczką. Oczywiście wybrała tę drugą opcję. Może i mniejsze szanse na dożycie starości, ale przynajmniej praca stojąca.

Zdobywała żołnierskie szlify w profesjonalnych armiach zachodu, służyła w gwardiach szalonych watażków wyrównujących rachunki z sąsiadami, uczestniczyła w krucjatach religijnych, a nawet robiła za ochroniarza dla pomniejszych władcyków. Właśnie przed ludźmi jednego z nich uciekała, kiedy ją spotkaliśmy, a raczej kiedy ona spotkała nas. Do spięcia z pracodawcą doszło w wyniku nieporozumień co do rozszerzenia zakresu jej obowiązków o łożę owego władcyki.

Miała dziewczyna za sobą przeszłość, jaką niewielu najemników może się pochwalić.

Zupełnie jak Barbarzyńca, pomyślałem, kiedy skończyła opowiadać. Niezwykle podobna ścieżka kariery zawodowej. Dziwne, że lata takiej służby nie odbiły się na jej twarzy. Przynajmniej w blasku ogniska była oszałamiająco piękna, świeża i można nawet rzec, że subtelna.

- A wy dokąd zmierzacie? – zapytała, pociągając duży łyk z bukłaku z winem.

- Do nekromantów – odpowiedział beznamiętnie Barbarzyńca. Dziewczyna zakrztusiła się winem, a kiedy już poklepaliliśmy ją po plecach i złapała oddech, wybuchła szczerym śmiechem, ukazując perłowo-białe zębki. Milczeliśmy ponuro.

- Poważnie? – zapytała, widząc nasze miny.

- Tak. Królestwo tego tutaj – kiwnąłem głową w kierunku Barbarzyńcy – jest poważnie zagrożone i jedyny ratunek to przymierze z nekromantami.

Ałtaja uniosła brwi, patrząc na nas z niedowierzaniem

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że on jest królem? W to jeszcze trudniej uwierzyć niż w to, że z własnej i nieprzymuszonej woli pchacie się w łapy nekromantów. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą świat robi się coraz dziwniejszy. Mnie na ten przykład, przybrany ojciec powtarzał, że księżniczka, bo znalazł mnie na jakimś rabowanym właśnie dworze królewskim. Mam nawet medalion z wygrawerowanym lwem, symbolem owej krainy. Ostatnia pamiątka z poprzedniego życia. – Zamyśliła się. – Ludzie różne rzeczy gadają. Spotkałam kiedyś wojownika, co twierdził, że z zatopionej Atlantydy pochodzi, a jeden taki fircyk opowiadał, że na gwiazdach żyją istoty takie jak my.

Spojrzałem na Barbarzyńcę, który słuchał z zainteresowaniem. Co oni wszyscy z tymi gwiazdami?

- Chciał mnie gadaniem o gwiazdach pod koc zaciągnąć. No... na gwiazdach to on się znał, ale na niczym więcej – skrzywiła usta. - No dobrze, panowie, spać trzeba, bo niedługo świta, a czeka nas daleka droga – zawinęła się szczelnie w jedną z naszych derek.

- Nas? – bąknąłem zaskoczony.

Ałtaja spojrzała na mnie uważnie tymi swoimi czarnymi, hipnotyzującymi oczami.

- Myśleliście, że zostawię was samych? Bez pomocy? Ha! Szykuje się przecież niezła chryja!

Odwróciła się na drugi bok i zasnęła.

6. Taniec ze śmiercią

Powiadają, że zamki nekromantów mają w sobie mrok niezgłębiony dla ludzkiego umysłu. Powiadają, że ociekają plugastwem i kryją zło w każdym zakamarku, każdej szczelinie wydrążonej w murze. Powiadają wreszcie, że kto choć raz na nie spojrzy, nigdy już nie będzie potrafił cieszyć się światłem dnia.

Rzeczywiście zamysł konstrukcyjny zamków zahaczał o architektoniczną abstrakcję i dziwię się, że monumentalne wieże jeszcze się nie zawaliły. Natomiast żadnego plugastwa na murach nie uraczyłem, a ze szczelin nie wyskakiwało zło w postaci czystej, próbujące nas zniszczyć za wszelką cenę. Jednakże co do ostatniego punktu mógłbym się zgodzić.

- Czy to słońce wreszcie zajdzie? Strasznie daje po oczach! – złościł się król.

Promienie słońca odbijały się od śniegu. Dookoła nic, tylko biel i lód. Nasza drużyna, złożona z Barbarzyńcy, obecnie na etacie króla, sztuk jeden, pięknej wojowniczką, szkoda, że tylko sztuk jeden, i maga drugiego poziomu, szkoda, że aż sztuk jeden w tym właśnie miejscu, stała przed olbrzymią bramą nekromanckiego zamku.

- Zaraz wejdziemy do środka i jest taka możliwość, że już nigdy słońca nie zobaczysz – pocieszałem.

- Czy nikt nas nie widzi? – niecierpliwiła się Ałtaja. Marzła biedaczka. Jej strój nie przewidywał uczestnictwa w ekstremalnej wyprawie na najbardziej wysunięte przyczółki cywilizowanego świata. Tak samo zresztą jak ubranie króla i moja powiewna szata maga. Poszyliśmy sobie z derki okrycia, które od biedy chroniły od chłodu, ale na pewno nie w sposób wystarczający.

- Zimno mi! – Barbarzyńca dalej się wściekał.

- Jak tylko wejdziemy do środka, to Lord Nekromantów będzie przypiekał nas żywym ogniem tak, że już nigdy nie będzie ci zimno – zawsze, kiedy się bałem, zbierało mi się na złościwości.

- Zamknijcie się! – warknęła Ałtaja. – Strażników na blankach nie widzę. Może trzeba zakrzyknąć?

- Jak tylko wejdziemy do środka i nekromanci zabiorą się za nas, to już do końca życia będziemy krzyczeć.

- Zamknij się! – wrzasnęli jednocześnie.

A ja sobie pomyślałem, że jak tylko wejdziemy do środka, to nie potrwa długo jak zamilknę na zawsze.

- Jest tu kto!? – ryknął Barbarzyńca nad moim uchem. Zakląłem. Jego okrzyk mógł zbudzić wszystkie istoty zamieszkujące Lodowe Pustkowia.

Długo nie musieliśmy czekać. Skrzydła potężnych grodzi rozwarły się i spojrzeliśmy w oczy śmierci.

A raczej w oczodoły.

* * *

Nie wypadli na nas beładną masą, jak to często opisywane jest w legendach lub opowieściach dworskich bardów. Nie rzucili się jak chmara niezorganizowanych maruderów, ale maszerowali falangą, noga za nogą, tarcza za tarczą w równym szyku, po dziesięciu w szeregu, a szeregów nie można było zliczyć. Ziemia zatrzęsa się od ich kroków, powietrze rozdarł ohydny, grobowy dźwięk trąb.

Szkielety. Pierwszy raz miałem okazję zobaczyć je na własne oczy. Można powiedzieć, że prawie niczym się nie różniły od eksponatów, które pokazywano nam w Akademii Magicznej na wydziale medycznym. Po prostu pozbawione tkanki zbitki kości, z tą tylko różnicą, że te kości poruszały się. Szkielety miały na sobie zbroje. W jednej ręce dzierżyły tarcze, w drugiej zaś potężne, pokrytą rdzą miecze, tasaki, kordy.

Zastanawiałem się, ilu wojowników poległo w bitwach w całej historii ludzkości? Ile potencjalnego materiału dla obrzydliwych praktyk nekromantów skrywa ziemia. Kim byli ci, którzy szli ku nam, gdzie zginęli, dla jakiego władcy, w obronie jakich ideałów?

Tymczasem Barbarzyńca z typową dla siebie brawurą wziął sprawy w swoje ręce.

- Crom Cruach! – wykrzyczał imię krwawego boga i ruszył do ataku. Nie zdążyłem nawet rzucić na niego zaklęcia ochronnego, kiedy wpadł w szeregi szkieletów. Pierwszym ciosem miecza pozbawił trupiej głowy jednego z nieumarłych wojowników, drugiego przepołowił, a trzeciego zwałił z nóg.

- Kości zostały rzucone – zaśmiała się Ałtaja, wyciągnęła swój zakrzywiony miecz i pośpieszyła na pomoc królowi.

Nie pozostało mi nic innego, jak przyłączyć się do tego szaleństwa. Skupiłem w dłoni energię i uderzyłem czarem Telekinezy w prawe skrzydło wroga. Podmuch uderzenia spowodował efekt domina i z trzech szeregów szkieletów pozostała tylko sterta kości i żelastwa. Przymknąłem oczy i rozpocząłem kolejną inwokację. W tym czasie amazonka zdążyła dopaść przeciwnika, tanecznym zwrotem uniknęła sztychu zardzewiałego żelaza, zwinnie sparowała kolejny cios i jednym błyskawicznym cięciem miecza roztrzaskała żebra dwóm napastnikom. Wykonała półobrót i uderzyła

kolejnych dwóch. Poruszała się niczym pantera, cicho, zwinnie i diabelsko skutecznie.

Barbarzyńca nie był tak subtelny. Walił na oślepie swoim dwuręcznym mieczem. A co wyprowadził jeden cios, to bez mała czterech przeciwników leżało. Wydawało się, że samym podmuchem robi więcej szkód niż cięciami. W pewnym momencie zatoczył młynka i w ten sposób uczynił potężną wyrwę w szeregach wroga.

Poczułem mrowienie w dłoniach, co oznaczało skupienie mocy, przymierzyłem i uderzyłem ponownie z lewej, a potem z prawej dłoni. Na moim koncie mogłem zaznaczyć kolejnych dwadzieścia kresek.

Rzeź trwała, można nawet powiedzieć, że przybierała na sile. Z bramy wysypywały się coraz to liczniejsze rzesze nieumarłych. Miecz królewski opadał i wznosił się raz za razem, Ałtaja tańczyła między przeciwnikami, parowała ciosy i uderzała zniechęca, ja zaś generowałem jedno zakłęcie za drugim. Nie walczyliśmy już na ubitym śniegu, ale na stercie kości zalegającej pod nogami. Zdawałem sobie sprawę, że niedługo opadniemy z sił, za którymś razem Barbarzyńca spóźni uderzenie, amazonka poślizgnie się w piruecie, a i mnie moc opuści. Dopóki jednak starczy sił, dopóty będziemy walczyć, ale kiedy skończy się ta afera, to chyba skopię królewską rzyć. Za to, że mnie wciągnął w tę awanturę.

Teraz jednak rzuciłem na niego zakłęcie Przyśpieszenia Ruchów, a na Ałtaję Ochronną Tarczę, tak że przynajmniej lekkich przypadkowych cięć na jakiś czas nie musiała się obawiać.

7. W paszczy nieśmiertelności

Nagła cisza aż zadzwoniła mi w uszach. Rozejrzałem się zdumiony i ujrzałem ledwie trzymającą się na nogach Ałtaję i ciężko dyszącego, pokrwawionego Barbarzyńcę. Nie walczyli. Stal nie uderzała o stal, a na placu boju szkielety znajdowały się w jedynej słusznej pozycji – leżącej.

Skończyło się. Nie mogłem w to uwierzyć.

Brama do zamku pozostawała na oścież otwarta, jakby nas zapraszała i wabiła.

- Idziemy! Musimy znaleźć nekromantę – zakomenderował król.

- Myślisz, że to bezpieczne? – jakoś nie chciało mi się wierzyć, że już pokonaliśmy cały system zabezpieczeń siedziby nekromanty.

- Mag ma rację – poparła mnie Ałtaja. – Wydaje mi się to podejrzane.

Barbarzyńca prychnął wściekle.

- A mamy inne wyjście? Może chcecie zawrócić?

Niestety miał rację. Dotarliśmy tak daleko i teraz nie mogliśmy się

wycofać.

Poza tym ściemniało się, a noce robiły się coraz chłodniejsze. Najbliższą lepiej przeczekać w zamku niż na szlaku. Spojrzeliśmy po sobie z wahaniem, ale ruszyliśmy w stronę bramy. Ałtaja czujnie, z lekko uniesionym mieczem, w każdej chwili gotowa do skoku. Ja - rozglądając się niepewnie na boki, czy zaraz nie chwyci mnie za gardło jakaś kościana dłoń.

- Psie syny! To musiał być cały legion! – Tylko król pewnie stąpał po rumowisku z kości, nie przejmując się tym, co nas czeka po drugiej stronie bramy. Nie przejmował się przyszłością. Można powiedzieć, że żył zgodnie z zasadą: „tu i teraz”. To był niezwykle dar, którego mu szczerze zazdrościłem. Zastanawiał mnie pewien paradoks. Barbarzyńca był nieskomplikowanym człowiekiem i miał nieskomplikowane podejście do życia, ale zawsze wokół niego sprawy się komplikowały. Jak nie uciekał z niewoli, to wdawał się w awantury. Jak nie dokonywał kradzieży tysiąclecia, to spotykał teoretycznie dawno wymarłe bestie. Zaspokajał przede wszystkim podstawę swojej piramidy potrzeb - jedzenie, picie, seks – w dowolnej kolejności lub najlepiej wszystko naraz. Życie zmusiło go do niezliczonych wędrówek, wgłębiania się w antyczne tajemnice, poznania zagadek kosmosu, a nawet nauczył się czytać, co uważam za najwyższy akt samorealizacji owego osobnika.

Minęliśmy bramę i weszliśmy na wybrukowany czarną kostką dziedziniec. Przywitała nas cisza. Nie taka zwyczajna cisza, w której słychać śpiew ptaków, szum wiatru, ale cisza przeraźliwa, martwa, jakby całe życie zostało wysrane z tego miejsca.

Rozglądaliśmy się uważnie po krużgankach, tarasach i narożnych basztach, lecz nigdzie nie dostrzegliśmy zagrożenia. Barbarzyńca zajrzał nawet do znajdującej się na środku dziedzińca studni. Nic. Jakby zamek był opustoszały, a przecież jeszcze chwilę temu wychodziły z niego zastępy szkieletów. Spojrzeliśmy po sobie, nie bardzo wiedząc, co dalej począć. Spodziewaliśmy się kolejnego ataku, niebezpieczeństwa, zasadzki. W każdej chwili mogły wyskoczyć na nas kolejni nieumarli i zalać nas masą kości. Wszystko było jednak lepsze od niepewności.

Nagle brama samoczynnie zamknęła się z przeciągłym zgrzytem. Ałtaja i Barbarzyńca stanęli w postawie bojowej i unieśli miecze, a ja rozpocząłem inwokację Czarui Osłony.

Na północnym krużganku pojawiła się postać w czerni. Z tej odległości nie byliśmy w stanie dostrzec szczegółów, wydawało się jednak, że broni nie posiada. Zaczęła klaskać w dłonie, a echo rozniosło się po całym dziedzińcu.

- Brawo! Jestem pod wrażeniem waszych umiejętności i odwagi. Jam jest Heinrich von Sangershausen. Witajcie w moim zamku. Zapraszam na kolację!

* * *

Pierwszy raz od bardzo dawna mieliśmy przed sobą posiłek z prawdziwego zdarzenia. Mięsiwo, gęsta zupa z wkładką, owoce i do tego dzbany z winem. Zamiast rzucić się na jedzenie i chłonąć, wydając przy tym odgłosy mlaskania, jak to właśnie czynił Barbarzyńca, ja i Ałtaja siedzieliśmy, przypatrując się uważnie naszemu gospodarzowi. Człowiek ów, jeśli można nazwać go człowiekiem, przewyższał o głowę nawet króla, a przecież ten do ułomków nie należał. Skórę miał białą niczym płótno, zdawałoby się: napiętą do granic możliwości, tęczęwki jego oczu były czerwone, palce długie i wysmukłe, sprawiające wrażenie szponów. Jego ruchy były jednak powolne, subtelne, nieomal zniewieściałe. I było coś jeszcze w jego postawie. Jakiś archaiczny mrok, przez eony przechowujący zapomniane przez świat tajemnice.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Surowo, acz stylowo urządzona jadalnia. Ściany i sklepienie w stylu krzyżowym, pokryte malowidłami. Przedstawiały na przemian sceny powstawania z grobów, kanibalizmu lub morderstw. Ot, sztuka.

Oprócz naszego gospodarza nie dostrzegłem nikogo więcej: straży ani służby. Zatem kto przygotował posiłek? Może lepiej nie wiedzieć.

Spojrzałem na amazonkę, wydawała się mocno przestraszona.

- Kim jesteś? – zapytała mężczyźną.

Heinrich von Sangershausen uśmiechnął się blado, wykonał nieokreślony gest dłonią, zapatrzył się w okno.

- Goście – westchnął. – Zamiast pochwalić gust gospodarza, spróbować jedzenia, które tak pieczołowicie dla nich przygotował, zagaić rozmową o tym, co w dalekim świecie słychać, od razu zadają pytania.

Zwrócił swoje czerwone oczy na Ałtaje.

- Moja droga. Nie ma prostych odpowiedzi. Czy jestem tym, kim jestem, i sam kształtuję siebie? Czy może jestem tylko iluzją, marą, snem jakiegoś potężnego boga? Marionetką i kukłą na łańcuchu jego woli? A może, jak w dalekim Kitaju mówią, ciało jest tylko pustą skorupą, w którą wciela się dusza, żeby doświadczać? A może jesteśmy cieniami na ścianie jaskini, jak to niektórzy filozofowie twierdzą?

Uśmiechnął się, wstał i majestatycznym krokiem zbliżył się do kobiety. Jego czarna szata przetykana złotymi nićmi przy każdym kroku

szeleściła jakimś niezdrowym, zdegenerowanym odgłosem z innego świata. Szponiastymi palcami ujął delikatnie jej podbródek.

- Ale nie o taką odpowiedź ci chodziło. Prawda, amazonko?

Ałtaja odsunęła się ze wstrętem. Gospodarz założył ręce na plecy i zaczął się przechadzać po sali.

- Byłem najmłodszym synem barona von Sangershausen z Zachodniej Marchii. Nie miałem żadnego prawa do tytułu i do ziemi. Młodszy synowie albo idą na służbę pod chorągwie królewskie, albo zostają zakonnikami. Moje zdrowie było mizerne, siły w rękę nie miałem, orężem posługiwałem się nad wyraz kiepsko, co powodowało szykany ze strony ojca i starszych braci. Jedynym wyjściem był klasztor. Jednakże to nie było moje powołanie. Pragnąłem potęgi i władzy nad ludźmi.

- Władza jest przereklamowana – wtrąciłem.

Heinrich von Sangershausen jakby nie usłyszał i kontynuował swoją opowieść:

- Chłonałem wiedzę z ksiąg zarówno świętych, jak i heretyckich. Pokonywałem kolejne stopnie wtajemniczenia, a moje poszukiwania zaprowadziły mnie na ścieżkę nekromancji. Eksperymenty, obrzędy i rytuały sprowadzały mnie do coraz niższych kręgów piekła. Najpierw udawało mi się powoływać do życia owady, ptaki i zwierzęta. Potem przyszła kolej na ludzi. Dobierałem sobie służących z umarłych, a ciekawość tajemnicy istnienia pchała mnie dalej. Niestety notable w Zachodniej Marchii dowiedzieli się o moim procederze i pod groźbą śmierci musiałem uciekać. Dopiero tutaj, na Lodowych Pustkowiach, gdzie królował tylko wiatr i śnieg, mogłem zaznać spokoju i poświęcić się pracy. Znalazłem sposób na nieśmiertelność. Utrzymuję ciało przy życiu już prawie tysiącletnie, jednakże od pragnienia życia wiecznego jeszcze silniejsze jest pragnienie zemsty. Dlatego zacząłem uczyć podobnych mi ludzi odrzuconych przez społeczeństwo. Od czasu do czasu tworzymy wielkie armie i uderzamy. Nie dla zdobycia ziemi, bogactw, kobiet. Zemsta jest naszym jedynym celem. Chcemy ugasić ogień nienawiści, który trawi nasze czarne, jak powiadają, serca. Teraz już wiesz, kim jestem. Jestem wygnańcem i władcą. Jestem uciekinierem i mścicielem, bólem i potęgą... – Nasz gospodarz przerwał, żeby zaczerpnąć tchu, przechylił lekko głowę i wpatrzył się wnikliwie w Ałtają.

- Ciekawe, kim ty jesteś, amazonko?

- Dlaczego nas oszczędziłeś? – przerwałem pytaniem, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Nekromanta roześmiał się szyderczo, a jego śmiech rozniósł się echem po całej sali.

- A kto powiedział, że was oszczędziłem, magu?
- Czyli co? Najemy się, napijemy, pogaworzymy i wtedy znowu naślesz na nas swoją armię? – spytałem i spojrzałem na Barbarzyńcę, który skupiony był wyłącznie na jedzeniu. Jakby nie interesowało go ani co się dzieje, ani przebieg rozmowy. Jak ja mu zazdrościłem tego spokoju. A może ignorancji?

- Nie potrzebuję armii, żeby was zniszczyć – odparł Heinrich von Sangershausen. – Jestem magiem dziesiątego poziomu.

Zamurowało mnie. Jeśli nie kłamał, to za pomocą magii mógłby zdobyć władzę nad światem. Na palcach jednej ręki można policzyć czarodziejów dysponujących taką potęgą.

- Wiem o czym myślisz, magu – powiedział. – Wystaw sobie jednak, że ktoś, kto poznał tajemnice wiecznego życia, dotknął nieskończoności, otarł się o sens istnienia wszechświata, nie interesuje się małostkowymi sprawami śmiertelnych.

- A jednak trzymasz nas przy życiu i z nami rozmawiasz. Więc chyba nie do końca straciłeś zainteresowanie dla spraw ziemskich. Czyżby żal i tęsknota za utraconym człowieczeństwem? – stałem się być sarkastyczny, jak tylko potrafię. – A twoje najazdy armii szkieletów? Jak inaczej to nazwać, jak nie małostkową, typowo ludzką chęcią zemsty? Ty, który dotykałeś absolutu! – podniosłem głos i w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że przesadziłem.

- Milcz! – ryknął nekromanta, a od natężenia jego głosu naczynia popękały i wino rozlało się na stół.

- Nie wylewaj, chłopie, wina! – Król był zniesmaczony, kiedy zalało mu nałożony właśnie na talerz kawał udźca.

- Dość tego. Czas umierać! – głos Heinricha von Sangershausena stał się lodowato zimny.

Barbarzyńca nie czekał. Błyskawicznie chwycił miecz i w mgnieniu oka pokonał dzielącą go od nekromanty odległość. Chciał wykonać pchnięcie mieczem i stanął jak wryty. Ja również nie mogłem się ruszyć, podejrzewałem, że to samo spotkało Ałtaję. Czar Paraliżu powoduje, że w promieniu stu metrów zastygają w miejscu wszyscy, oprócz oczywiście osoby, która zaklęcie rzuciła.

Gospodarz zamku uśmiechnął się wrednie i spojrzał głęboko w oczy Barbarzyńcy.

- Szybki jesteś – powiedział z lekką nutką podziwu. – Ale nie wystarczająco.

- Wystarczająco – szepnął król i dokończył pchnięcie mieczem.

Trudno sobie wyobrazić zaskoczenie nekromanty. Jego twarz, będącą

do tej chwili maską bez oznak emocji, wykrzywił strach i niedowierzenie.

- Jak? – wyszeptał i spojrzał na swój brzuch, z którego lała się czarna jak smoła krew. Padł na kolana przed Barbarzyńcą. – Jak? – powtórzył.

Poczułem, że paraliż mija, ranny czarodziej nie był w stanie utrzymać czaru, o nowych inwokacjach nie wspominając. Wstałem od stołu i zbliżyłem się do króla, który właśnie wyciągnął głownie z trzewi ofiary i przygotowywał się do odrąbania głowy.

- Czekaj! Wymuś na nim hołd!

- Co? Hołd? – zdziwił się król.

- Ech... z tobą. Nic nie rozumiesz – wzniosłem oczy ku niebu. –

Dobra. Posłuchaj, Heinrichu von Sangershausenie. Mój król daruje ci życie, jeśli się przed nim ukorzysz i przysięgniesz pomoc w jego walce.

- Nigdy! – wyszczał nekromanta, trzymając się za rozplątany brzuch.

- Kończ z nim... – mruknąłem, a Barbarzyńca wzniosł miecz do ciosu.

- Nie! Czekaj! – wychrypiał Lord Nekromanta. – Przysięgam. Składam ci hołd, królu.

- Dobrze, Heinrichu von Sangershausenie. Zostawiamy cię żywym. Wyleczysz się z ran i stawisz na rozkaz króla ze swoją armią w wyznaczonym miejscu i czasie. A teraz bywaj.

Ałtaja wstała od stołu i ruszyliśmy w stronę wyjścia, zostawiając rannego nekromantę na posadce. W drzwiach odwróciłem się jeszcze i powiedziałem:

- Aha! Byłbym zapomniał. Pewnie chcesz wiedzieć, co było powodem twojej klęski?

Heinrich von Sangershausen podniósł wzrok.

- Brak wiary, nekromanto. Zwykły brak wiary. Mój przyjaciel nie wierzy w magię, więc jest na nią uodporniony. Cywilizacja z całym bogactwem, które nam przyniosła, pozbawiła nas umiejętności dostrzegania rzeczy takimi, jakimi są naprawdę. Żyjemy w naszych głowach, naszych wyobrażeniach o świecie i nas samych. Sam wiesz, że na tej właśnie iluzji bazuje magia. Barbarzyńca tej iluzji jest pozbawiony. Bierze rzeczy takimi, jakimi są naprawdę. Do zobaczenia, nekromanto!

To mówiąc zamknąłem drzwi komnaty.

8. Wróg u bram

Nie mogliśmy dłużej odwlekać bitwy. Sułtan Maik Ab Nahad ed-Bin Musstafa ibn Eyuub ponad miesiąc temu wprowadził swoją armię na teren

Królestwa. Jego żołdacy rabowali zamki i palili wioski, biorąc całe rzesze niewolników. Coraz bardziej poirytowani baronowie raz za razem posyłali prośby do króla, żeby wreszcie przystąpił do walnej bitwy i stanął w ich obronie.

Podjazdy prowadzone na zasadzie wojny partyzanckiej, którymi dowodziła Altaja, chociaż czasami zdarzało się, że prowadził je sam król, nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Sułtańskie straty były kroplą w morzu, a dla nas każdy żołnierz był na wagę złota. Dłużej nie mogliśmy zwlekać. Oddziały wroga zbliżały się do serca Królestwa, wieśniacy porzucali swoje gospodarstwa, mieszczenie domostwa, natomiast w armii z dnia na dzień rosła liczba dezertorów.

Ludzie mówili, że król czeka na cud, na przybycie posiłków od tajemniczego sojusznika, którego pozyskał w czasie wyprawy na północ. Jednakże z dalekich lodowych krain żadna pomoc nie nadchodziła, a zakrzywione szable sułtańskich żołdaków nadal dokonywały rzezi wśród mieszkańców wsi i miast.

Nadszedł jednak ten dzień, gdy wreszcie stanęliśmy do walki. To my wybraliśmy miejsce - Dolinę Gaorenik położoną dzień drogi od stolicy tuż przy głównym trakcie. Od północy dolina zwężała się i po jej bokach znajdowały się gęste lasy. Właśnie między nimi rozstawiliśmy naszą armię, co dawało nadzieję na zniwelowanie liczebnej przewagi przeciwnika.

Na samym środku król ustawił doborową gwardię królewską, liczącą sześć tysięcy żołnierzy. Doświadczeni weterani wielu wojen, uzbrojeni w długie na trzy metry włócznie. To oni mieli przyjąć na siebie pierwsze uderzenie wroga. Doskonale prezentowali się w swoich czarnych zbrojach. Po bokach mieli regimenty piechoty wystawione przez poszczególne miasta i rody. Na powiewających barwnych sztandarach można było dostrzec różnorodne heraldyczne wzory. Tak więc mieliśmy skosy, słupy, wręby, pasy, łękawice, a także jednorożce, niedźwiedzie, orły, wrony... Jednakże ci żołnierze nie byli tak dobrze uzbrojeni jak gwardziści. Wyposażeni w zwykłe miecze, tarcze, topory, kordy, tasaki, opancerzeni lekko, jedynie w pikowane kaftany, ewentualnie kolczugi. Dwadzieścia tysięcy nie wprawionych w walce ludzi. Liczyliśmy na więcej.

Łamiąc odwieczne zwyczaje, wbrew radom marszałka, na flankach król ustawił jazdę. Ta dumna formacja, uderzając brawurową szarżą prosto na elitarne oddziały wroga, rozstrzygała zazwyczaj wszystkie poprzednie bitwy Królestwa. Tym razem kluczem do zwycięstwa miały być skrzydła, tak więc właśnie tam, w szyku kolumnowo-klinowym, ustawione zostały chorągwie. Każdą z nich prowadziło pięciu najwybitniejszych rycerzy, za nimi siedmiu, następnie dziewięciu, jedenastu i trzynastu. Za owym klinem

stała reszta jeźdźców, w kolumnach po trzynastu w rządzie. Ciężkozbrojni rycerze, opancerzeni w zbroje płytowe, dzierżący kopie, znajdowali się w klinie lub po bokach kolumny. Lekkozbrojni natomiast w środku a ich podstawowym zadaniem było szycie do przeciwnika z kusz na zasadzie gradu strzał. Jazdy było jednak nie więcej niż piętnaście tysięcy. Do tego można dodać jakiś tysiąc w odwodzie, będący równocześnie przyboczną strażą króla. Nad ich głowami powiewał królewski sztandar, symbol władzy i potęgi.

Staliśmy tuż przed nimi. Król, w złotej zbroi płytowej i w zniechęconym przez niego hełmie w kształcie psiego pyska, na ślicznej białej klaczy, ja i Ałtaja na bojowych kasztankach. Dołączył do nas jeszcze marszałek, zaś generałowie stali przy swoich oddziałach. Natomiast arcymag, wraz z kilkoma innymi magami, na wieść o inwazji sułtańskiej armii, dość pośpiesznie opuścił Królestwo. Tak więc zostaliśmy pozbawieni jakiegokolwiek wsparcia magicznego w tej bitwie.

* * *

Kiedy się pojawili, poczerniał horyzont. Masa lekkiej piechoty z południowych satrapii, rydwany - konstrukcje siejące grozę na wszystkich kontynentach, straszliwe słonie bojowe tratujące wszystko na swojej drodze, zamaskowani asasyni – bezwzględni zabójcy i ciężka piechota, która była elitarną sułtańską gwardią. Szli w naszym kierunku. Miarowe uderzenia bębnow pogłębiały grozę widowiska.

Zmiotą naszą armię z powierzchni ziemi i nie zostanie po nas nawet wspomnienie – pomyślałem i spojrzałem na króla. On zaś zaintrygowany wpatrywał się w królewski sztandar powiewający na wietrze.

- Wiedziałeś, że godłem Królestwa jest czarny lew na żółtym polu? – zapytał.

- Szczerze mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałem – odarłem.

- Lew – zadumał się Barbarzyńca.

- Teraz mamy większe problemy niż heraldyka – rzuciłem ostro. –

Spójrz, ilu ich jest!

- Taaa... będzie z trzysta tysięcy. Cóż, mają niewielką przewagę. – Król wzruszył ramionami – Posłuchaj, czy myślisz, że ten lew...

- Lew!? Daj spokój z lwem! – wrzasnąłem na niego. – Skup się na bitwie! Spójrz tam – wskazałem ręką plac boju.

W naszą stronę pędziło około dwustu rydwanów.

9. Za honor i ojczyznę

- Trzymać swoje pozycje! – krzyczał król do regimentów piechoty. W ich kierunku zbliżały się śmiercionośne rydwany. Słysząc już było tętent końskich kopyt i furkot kół z przymocowanymi ostrzami. Gdy tak wyposażony rydwan wpada między szeregi piechoty, ścina ludzi niczym kosa trawę. Resztę dzieła dokonuje załoga, która wypuszcza strzały z łuków lub tnie mieczami tych, którzy mieli szczęście przeżyć.

- Trzymać pozycję!... – Tubalny głos Barbarzyńcy niósł się po okolicy, a śmiercionośne pojazdy były tuż-tuż. Można było dostrzec wykrzywione w grymasie wściekłości twarze dzikich wojowników. Lada chwila rydwany niczym morska fala wedrą się w szeregi wojsk królewskich.

- Teraz!

Na komendę żołnierze wykonali manewr. Falanga rozsunała się, pozostawiając spore odległości między rzędami. Można było tego dokonać tylko dzięki doskonałej koordynacji i zgraniu wszystkich żołnierzy. Ostatnią rzeczą, do jakiej można było dopuścić, to chaotyczna obrona, panika, dezorganizacja. Wtedy rydwany zebrałyby okrutne żniwo wśród zbitych w jedną masę ludzi. Lecz setnicy spisali się doskonale nadzorując cały manewr.

Woźnice nie mogli już zawrócić ani zmienić kierunku i rozpędzone pojazdy wjechały w pozostawione luki. Cały efekt impetu i cięć ostrzami spełził na niczym. Gwardziści otoczyli rydwany, chwyтали za lejce, ściągali woźniców lub długimi włóczniami dźgali konie. Nad polem bitwy rozniósł się radosny okrzyk wojowników Królestwa.

Wygraliśmy pierwsze starcie.

Niedługo jednak przyszło nam się z tego cieszyć. Śmiech zamarł, gdy usłyszeliśmy potężny ryk i zadrżała ziemia. To słonie bojowe ruszyły do ataku. Najpierw powoli, majestatycznie, później coraz szybciej, aż do oszalałej szarży. Z tysięcy gardeł dobył się okrzyk przerażenia. Pięćdziesiąt słoni bojowych może stratować kilka regimentów piechoty i zrobić miazgę z najdzielniejszych wojowników.

Widać już było kły i uniesione w górę trąby. Dodatkowo łucznicy siedzący na zwierzętach szyli z łuków, czyniąc wielkie zamieszanie w szeregach królewskiej armii. Żołnierze, jeden po drugim, porzucali swoje tarcze, włócznie i zaczęli uciekać.

- Stać! – rozkazał władczo król. - Walcie w tarcze mieczami, włóczniami, toporami, czym popadnie! Róbcie jak najwięcej hałasu!

Cała armia Królestwa zaczęła krzyżeć, uderzać w co się dało, tupać i zgiewk nasilał się z każdą chwilą. Nawet marszałek darł się jak opętany.

Na efekt nie czekaliśmy długo, słonie spłoszyły się i zmieniły kierunek natarcia. Niektóre wpadły w gęstwinę otaczających Dolinę Gaorenik lasów, inne zawróciły, taranując własne szeregi. Z obozu przeciwnika doszły nas okrzyki przerażenia i wrzaski umierających. Nieliczne słonie, które dotarły do naszych linii, zostały po krótkiej walce unieszkodliwione.

Wygraliśmy drugie starcie.

- Niezła taktyka, wodzu – powiedziała z uznaniem Ałtaja.
- Nauczyłem się tego na Czarnym Łądzie – wyszczerzył zęby

Barbarzyńca.

- Nie mówiłeś, że tam byłeś – nie przestawał mnie zaskakiwać.
- Jeszcze wiele o mnie nie wiesz.
- Najwidoczniej.

W tym momencie zagrały trąby, a pod niebo wzbił się tuman kurzu. Sułtan posłał do boju całą swoją armię.

- Zaczęło się – szepnął król. – Teraz naprawdę się zaczęło.

* * *

Pierwsze szeregi piechoty starły się z bezkształtną masą dzikusów w białych burnusach, którzy wyli niczym potępieńcy i cięli zakrzywionymi szablami. Gwardziści królewscy nie cofnęli się nawet o piędź ziemi, weterani wielu walk mężnie stawili czoło niebezpieczeństwu. Postawili ścianę tarcz, zza której kłuli przeciwnika długimi włóczniami. Desperackie ataki sułtańskich wojowników rozbijały się o żelazną dyscyplinę i wytrenowanie.

Nie gorzej radziły sobie regimenty wystawione przez miasta i rody. Tutaj taktyka falangi nie zdała egzaminu i walczone jeden na jednego.

Natomiast na flankach starła się ze sobą konnica. W pierwszym ataku rozpedzona szarża chorągwi rozniosła awangardę lekkiej jazdy sułtana. Jednakże po pierwszym impecie i strzaskaniu kopii doszło do walki na miecze. Tutaj przewagę zaczęli uzyskiwać świetni jeźdźcy z południowych pustyń.

Król natychmiast dostrzegł zagrożenie. Skrzydła podczas tej bitwy miały odegrać ważną rolę.

- Ałtaja! - krzyknął. – Weźmiesz z odwodu królewską jazdę i wspomóżesz lewe skrzydło.

- Dobra! – Kobieta zawróciła konia, gwizdnęła na stojącą za nami zbójnych i ruszyła.

- Zaraz wróć – powiedział Barbarzyńca i puścił się galopem na prawe skrzydło.

- Gdzie on jedzie? Co on robi?! – wytrzeszczył oczy marszałek.

- To według podręczników wojskowych nazywa się: wprowadzenie do bitwy taktycznych rezerw – wyjaśniłem.

Na lewej flance królewska jazda pod wodzą Ałtai rozbiła jazdę sułtańską i kontynuując szarżę, wpadła na ciężkozbrojnych pozostających w sułtańskim odwodzie. Z nimi już tak łatwo nie poszło. Ałtaja musiała chorągiew zawrócić i wycofać z walki.

Tymczasem na prawe skrzydło wpadł król, siejąc śmierć i zniszczenie. Jego miecz opadał i wznosił się, a przy każdym ruchu bryzgała fontanna krwi. Żołnierze królewscy z podziwem obserwowali swojego władcę. Zaczęli walczyć zacieklej i z większym animuszem. Powoli odzyskiwali stracony teren. Pojawienie się na placu boju króla musiało podnieść morale armii.

Zdawało się, że szala zwycięstwa przechylała się na stronę Królestwa. Laik mógłby tak pomyśleć, ale ja wiedziałem, że mieliśmy zaangażowane w walce wszystkie odwody, szeregi naszej armii z każdą chwilą topniały, a przeciwnik posiadał jeszcze świeże, nie wyczerpane walką oddziały. Pozostało czekać na ruch sułtana.

Długo to nie trwało. Na placu boju zmorzoną zmaganiem lekką piechotę wroga zastąpiła doborowa gwardia sułtańska. Uzbrojeni w halabardy ciężkozbrojni starli się z falangą królewską. Natrafili na siebie wytrawni żołnierze, doskonale wyszkoleni i charakterni. Niestety królewscy byli już zmęczeni długotrwałą walką i padali pod ciosami wroga. Utrzymywali jednak swoje pozycje, nawet o cal się nie cofając. Odważni, zdeterminowani, umierali z imieniem króla na ustach.

Nagle na stanowisko dowodzenia wpadł Barbarzyńca. Gdzieś zgubił bądź sam wyrzucił hełm w kształcie psiego pyska. Zdyszany podjechał do marszałka.

- Niech piechota powoli wycofuje się, formując półkole! – wydał rozkaz, a marszałek zaraz wysłał umyślnego do oddziałów.

Obserwowaliśmy manewr, który stąd wydawał się banalnie prosty do zrealizowania, jednakże zupełnie inaczej wyglądało to z punktu widzenia zmęczonego, przestraszonego i nierzadko ранego żołnierza na polu bitwy. Jak wielką trzeba mieć w sobie siłę woli, żeby nie porzucić tarczy, broni i nie uciec – byle dalej od tego piekła, byle dalej od umierających towarzyszy. Podczas manewru nikt nie może wyłamać się z szeregu, żeby nie powstała luka, w którą wróg wbije się klinem. Nie można dopuścić do paniki i

chaosu - to pewna śmierć. Wróg uderzy w plecy i poniesie go fala zwycięstwa.

Tarcza za tarczą, noga za nogą, falanga powoli wycofywała się, jednocześnie dając odpór przeciwnikowi. Raz po raz ktoś padał pod naporem ciężkich mieczy sułtańskiej piechoty. Nikt jednak nie stchórzył, nikt nie złamał szyku.

- Doskonale – szepnął król widząc, jak główny trzon armii sułtana wdarł się głęboko klinem w środek naszych pozycji.

- Teraz! – zakrzyknął do trębacza. Młody chłopak ubrany w żółto-czarną liberię dał długi, przeciągły sygnał.

Zdawało się, że lasy Doliny Gaorenik poruszyły się.

* * *

Sułtan Maik Ab Nahad ed-Bin Musstafa ibn Eyuub, władca blisko jednej trzeciej poznanego świata, wódz wszystkich ord, oświecony przywódca religijny swojego narodu, mąż siedmiuset niewiast, ojciec dwóch tysięcy sześciuset trzydziestu synów, o córkach nie wspominając, wsparł się łokciem w lektycę umieszczonej na potężnym słoniu.

- Wezryrze, co tam się dzieje? – zapytał, popijając wodę ze złotego kielicha.

Gruby eunuch uklonił się nisko i spojrzał w kierunku pola bitwy. To co ujrzał, sprawiło, że rześisty pot wystąpił mu na czoło, mimo że było raczej chłodno, a niewolnicy nie przerywali wachlowania.

- Mój panie! Najjaśniejsze Słońce Wschodzące Pod Kopułą Nieba...

- Mów wreszcie – zirytował się sułtan.

- Ten barbarzyński król ścieśnił front, wpuszczając naszą piechotę głęboko w swoje szeregi. Nasi prą klinem do przodu...

- To dobrze – uradował się sułtan.

- Tak! Oczywiście masz rację, najjaśniejszy, ale w tym właśnie momencie ze znajdujących się na flankach lasów wyszły posiłki dla króla.

- To źle – zasmucił się sułtan.

- Panie! Tysiące ich! Atakują z dwu stron... Wdzierają się bez problemu w nasze szeregi, siejąc panikę i śmierć. Masakrują nasze oddziały – chwycił się za głowę przerażony. - Idą nie patrząc na ofiary, na poległych i rannych, nie bojąc się śmierci.

- To bardzo źle – zdenerwował się sułtan.

- Dopadli tyłów i zamknęli w otoczeniu nasze doborowe oddziały, o najjaśniejszy! Kim są ci żołnierze, co nam taką zagładę czynią? Ależ... Panie! Teraz to widzę... To są szkielety!

* * *

- Udało ci się, miłościwy panie! – Marszałek krzyczał jak opętany. Tak do końca nie było wiadomo, czy bardziej z radości czy z zaskoczenia. – Udało ci się ujarzmić Lorda Nekromantę! Jak to zrobiłeś?

- Nie czas na wyjaśnienia – odparł zimno król. – Każ jeździe oflankować przeciwnika i dokończyć sprawę. Morale żołnierzy sułtana zostało złamane, a szyki się rozpadły. Nie powinno być problemu.

- Zobaczcie! Sułtan ucieka – wskazałem palcem wycofujące się oddziały wroga.

- Ha! To prawda – potwierdził marszałek. – Nie chce ryzykować. Powróci do swojego sułtanatu i pozostanie władcą, z uszczerbkiem na honorze, ale z dupą w jednym kawałku.

Roześmieliśmy się z ulgą. Zwycięstwo należało do nas. Dumnie powieziemy królewski sztandar do stolicy. A propos sztandaru...

- Gdzie jest Altaja ze strażą królewską? – zapytałem.

10. Fortuna kołem się toczy

Zakurzony trakt wiódł na wschód, lecz niewiele osób nim podróżowało. Leżał na uboczu wszystkich większych stolic cywilizowanego świata. Tylko desperaci, uchodźcy i straceńcy nim podążali.

- Jak ona mogła nam to zrobić?! – jęknąłem.

- Cicho już! Było, minęło... – Barbarzyńca wydawał się oazą spokoju.

- To się nie godzi! To jest, to jest... to nielegalne chyba jest?

- Legislatorzy uznali, że wszystko jest zgodne z prawem. – Mój towarzysz wzruszył ramionami.

- No tak! Z legislatorami trzeba żyć w zgodzie. A ty w swoim czasie kazałeś ich do lochów zamykać, torturować, wieszać, ścinać i co najgorsze, wszystkie słowniki im spalić. Tego ostatniego nie mogli ci wybaczyć. No i teraz się zemścili... To wszystko twoja wina! – wylewała się ze mnie gorycz i wściekłość.

Nadchodziła noc, a wraz z nią chłód, dokuczliwy o tej porze roku. W najbliższej okolicy raczej żadnej gospody nie było. Przyjdzie nam nocować na szlaku pod gołym niebem.

- Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego ona nam to zrobiła?

- Kobieta – odparł filozoficznie Barbarzyńca.

- Kto mógł przypuszczać, że okaże się taka sprytna?

- No...

- I taka bystra.
- No...
- I bezczelna!
- No... A czemu?
- Wycofała z walki królewską chorągiew, zostawiając nas na polu bitwy samych, zdanych na łaskę losu, na niechybną śmierć...
- Bez przesady, przecież wygraliśmy – wtrącił Barbarzyńca.
- Samotnych w obliczu niezmiernych zastępów wroga, dzikich sułtańskich hord – kontynuowałem z frustracją. – A ona co? Pod naszą nieobecność pojechała do stolicy i obwołała się królową. A te psie syny legislatory jej w tym pomogły!
- Miała królewski sztandar i medalion. Nie mogli postąpić inaczej – uspokajał mnie mój towarzysz.
- Przy odrobinie dobrej woli... Ech, masz rację: było, minęło – uspokoiłem się nieco.
- Swoją drogą dziwne z tym medalionem, nieprawdaż? Ałtaja opowiadała nam o nim wtedy przy ognisku, a ja nie zaskoczyłem. Porwana księżniczka i lew: symbol królestwa. Ale dlaczego akurat naszego królestwa?
- Mojego królestwa – poprawił odruchowo były król.
- Niech ci będzie, że twojego. Teraz to i tak nie ma już znaczenia. No i słowa wyroczni: „królowa wróci na stolicę”, wydawało mi się, że po prostu źle usłyszałem. Dlaczego oczywistych faktów nie połączyłem w jedną całość?
- A ja się domyśliłem – odparł z dumą Barbarzyńca.
- Co?! – zamrugałem w zaskoczeniu powiekami.
- No... przed bitwą, jak zobaczyłem lwa na sztandarze... I od razu sobie z opowieścią Ałtai skojarzyłem.
- I nic mi nie powiedziałaś?!
- Przecież próbowałem.
- Westchnąłem ciężko. Obejrzałem się na zachód i zobaczyłem zachodzące czerwone słońce. Zostawialiśmy cywilizację daleko za sobą i zdaje się, że na długo. Zostaliśmy banitami.
- Tyle starań, krwi przelanej, że o transakcjach finansowych nie wspomnę, i znowu jesteśmy bez grosza przy duszy.
- Daj spokój, należało się dziewczynie. Nie martw się, zdobędziemy nowe królestwo – pocieszał mnie.
- Tak myślisz?
- No... A teraz chodź, coś upolujemy. Głodny jestem.
- Dobra. A potem opowiesz mi o tej Wieży Słonia i istotach

zamieszkujących gwiazdy. Czuję, że będzie to niezła historia. Może warto ją spisać?

KONIEC

**Copyright©Darek Domagalski
Gdańsk, kwiecień 2007**